

# WIADOMOŚCI ILUSTROWANE.

№ 20.

Wilno, 18 (31) maja 1914 r.

Rok II.



Bolesław Krzywousty, król polski z rodu Piastów, zdobywca Pomorza.





Święcenie pól.

## Przed lud!

PRZED LUD! PRZED LUD!  
 ZE ŚWIATŁA JASNĄ SMUGĄ,  
 ZE SZCZĘŚCIA ŻŁOTĄ STRUGĄ,  
 WY, KTÓRYM DANY CUD  
 POTĘGI, WIEDZY, MIENIA,  
 PRZED LUD! PRZED LUD!

DO CHAT! DO CHAT!  
 GDZIE CHLEB W POPIELE CZARNY,  
 GDZIE PRACY POT OFIARNY,  
 GDZIE W BÓLU ZGIĘTY BRAT  
 KRZYŻ DŹWIGA SWÓJ CODZIENNY,  
 DO CHAT! DO CHAT!  
 TAM NIEŚMY SIEW PROMIENNY  
 W TEN SZARY ŚWIAT!

PRZED LUD! PRZED LUD!  
 Z HARF NASZYCH PIEŚNIĄ BRZMIĄCĄ,  
 Z POCHODNIĄ ŚWIATŁA LŚNIĄCĄ,  
 BY PIERZCHŁY: GRZECH I GŁÓD;  
 BY PIERŚ ROZEGRZAĆ SKRZEPŁĄ,  
 I WIEKÓW OTRZAŚĆ BRUD,  
 SKRĘ ŚWIATŁA RZUĆMY CIEPLĄ,  
 W POTĘGĘ PRZYSZŁĄ:

W LUD!

A. N.





## Nie rozdzielajmy!

Jakkolwiek nie urodziłem się nad Niemnem, Wilją, ani Dźwiną, to jednak ojczyzna moja nie kończy się na granicy dziesięciu gubernji Królestwa Polskiego. Litwa jest mi nie mniej droga, niż inne dzielnice dawnej Rzeczypospolitej. Nauczyłem się ją kochać, jeszcze dzieckiem będąc, z utworów Mickiewicza. Dziś najgorętszym pragnieniem jest, by praca całego życia mego stała się skuteczną obroną naszej spuścizny narodowej na Litwie.

Wiem, że pod tym względem nie należę do ludzi wyjątkowych: to co ja kocham, drogiem jest dla wielu, bardzo wielu braci moich. Zwłaszcza ci, którzy urodzili się na Litwie, związani są z tym krajem tradycją rodzinną, wychowali się tutaj — muszą kochać tę ziemię piękną i smutną, lud ciemny i ubogi, jego mowę, obyczaje i stroje...

Dawniej tylko działacze w rodzaju Murawjewa uważali za zbrodnię kochać jednocześnie Polskę i Litwę. Obecnie poglądy te znalazły już gorliwych obrońców pośród wlelu ludzi, pochodzących z rodzin od wieków osiadłych na Litwie.

Pierwsi litwomani postawili nam do wyboru: kochaj albo Polskę, albo Litwę; jeśli wolisz pierwszą, to wynoś się z Litwy; jeśli zaś Litwa ci jest droga, nie myśl o Polsce. Od litwomanów przejęli naukę „ojcowie“ ruchu białoruskiego z „Naszej Niwy“ i przekazali ją wychodzącej drugi rok w Wilnie gazetce „Bielarus“. Ta również naucza: kto kocha kraj nasz, lud białoruski, jego mowę, zwyczaje i stroje, kto w domu mówi „po prostemu“ — ten jest białorusinem, a nie Polakiem.

Ja doskonale rozumiem ludzi, którym droga jest mowa ludu białoruskiego, którzy chcieliby ją zachować, pielegnować i rozwijać, zyskać dla niej prawa, którzy sądzą, że jest to jedyny język, w jakim można trafić do przekonania kilku milionów ludu białoruskiego. Mam przekonanie, że dąże-

nia te nie byłyby dla nas wcale szkodliwymi, gdyby z nimi nie łączono jawnej lub ukrytej walki z polskością. Patriotyzm polski i przywiązanie do ludu białoruskiego, jego mowy, obyczajów nie stoją z sobą w żadnej sprzeczności. Dzisiejsi jednak kierownicy ruchu białoruskiego zajęci są wyłącznie prawie wybijaniem z głów ludu przywiązania do polskości. Dlatego robota ich nie może liczyć na naszą życzliwość.

K. L.

## 300.000.000 rubli.

Z warszawskiej „Gazety Porannej 2 grosze“ przytaczamy bardzo ciekawy artykuł, oto jego treść:

W miarę tego, jak rozglądamy się bliżej w naszej sytuacji ekonomicznej, przybywa nam otuchy i wiary w siebie. Widzimy coraz jaśniej, że jakkolwiek na wielu polach pracy nie idzie nam tak sporo, jak tego byśmy pragnęli, to jednak niewątpliwie posuwamy się naprzód.

Przekonywujemy się przede wszystkim, że nie jesteśmy bynajmniej społeczeństwem nędzarczy, wyzutych ze wszelkich dóbr ziemskich, że mamy o co ręce zacześcić.

Rozzuchwaleni brakiem wszelkiego z naszej strony odporu żydzi, wmawiali w nas np., że Warszawa niemal całkowicie znajduje się w ich ręku, że mieszkamy u nich „na pokomornem“, że właściwie po miastach posiadamy już tylko kościoły. A przecież ujawniło się, że w samej Warszawie kapitały chrześcijańskie, ulokowane na hypotekach żydowskich sięgają poważnej kwoty, 25 milionów rubli, że, gdybyśmy się dobrze porachowali, napewno okazałoby się, że nie my w domach żydowskich, ale żydzi mieszkają w domach naszych, którymi pozwalamy im rządzić i władać tylko wskutek naszej własnej obojętności i braku przedsiębiorczości.

Ujawnienie cyfry kapitałów chrześcijańskich, ulokowanych na

domach żydowskich, było dla społeczeństwa naszego prawdziwą niespodzianką, rewelacją krzepiącą i budzącą otuchę, pozwalającą nam śmielszym okiem na świat i na przyszłość naszą spojrzeć.

Obecnie przybywa nam rewelacja druga, która również do pesymizmu nie usposabia.

„Kapitalista Polski“ w n-rze 1-szym zamieszcza interesujący artykuł p. Adolfa Wolskiego p. t. „Możemy i musimy“. „Na ziemi ojców naszych — pisze p. Adolf Wolski w swym artykule — coraz jest nam ciasniej. Żywioty obce i przeważnie nam wrogie zalewają kraj nasz. O kawał chleba dla Polaka w Polsce coraz trudniej. Zdawać się może, że nie mamy ratunku. A jednak tak źle nie jest.

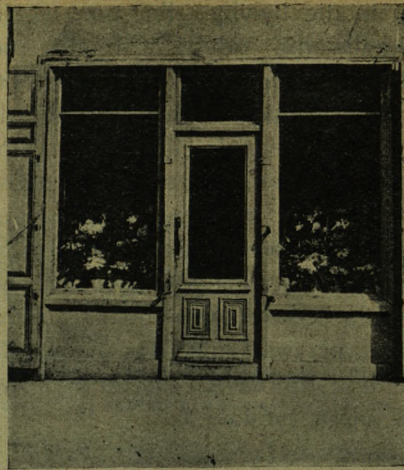
„Więc mamy olbrzymi skarb w postaci rąk roboczych. Nasza ziemia pod względem gleby i bogactw podziemnych nie jest najgorzej uposażona. Mieszkamy w samym środku Europy, mając na wschód od siebie wprost nieprzebrane pola do odbytu wytworów rąk naszych. I rzecz najbardziej niespodziewana, jesteśmy zasobni w duże wolne kapitały do stworzenia ognisk pracy polskiej.

„Nie liczę tych oszczędności polskich, które drogą prywatną na hypotekach i w postaci pożyczek zasilają naszych wrogów ku krzywdzie przedsiębiorczości polskiej. Biorę tylko te polskie oszczędności, które w postaci ruchomej leżą w rozmaitych zakładach kredytowych.

„Tak się przedstawiają oszczędności polskie.

Półowa wkładów w bankach akcyjnych . . .	rb. 43.500.000
<sup>3</sup> / <sub>4</sub> wkładów w Towarz.	
Wz. Kredytu . . .	rb. 50,600.000
Wkłady oszczędn. w kasach państw . . .	rb. 71.100.000
Kapitały i wkłady kas gminnych . . .	rb. 36.100.000
Wkłady w Tow. Kred. i pożyczn. . .	rb. 84.400.000
Razem . . .	rb. 285.700.000





Jak wyglądają nowe sklepy w Wilnie. Fot. M. Piękar ski.

Nie popełnimy przesady, jeśli cyfrę podaną przez p. Wolskiego zaokrąglimy do wysokości 300-tu milionów, która przesadną bynajmniej nie jest, zwłaszcza, jeśli uwzględnimy kapitały jakie arystokracja nasza posiada w bankach zagranicznych.

W każdym razie słusznie zaznacza p. Adolf Wolski, że suma, posiadanych prze nas wolnych kapitałów jest zupełnie wystarczającą, by za pomocą niej uprawiać cały przemysł terazniejszy Królestwa bez udziału kapitałów obcych. Nie możemy się zatem skarżyć i na brak kapitałów.

„Brak nam przedsiębiorczości, brak świadomości własnych sił, brak nam wiary w siebie.

„Nie brak nam ludzi, którzy potrafiliby korzystnie dla kraju i posiadaczy oszczędności zużytkować wolne kapitały w przemyśle i handlu. Trzeba tylko, żeby konieczność umieszczenia polskich pieniędzy w polskich placówkach przemysłowych i handlowych stała się powszechnym przykazaniem narodowym i społecznym. Wówczas tylko będziemy spokojni o przyszłość. Możemy to zrobić, a więc musimy!”

## Wodociągi wileńskie.

Taka lub inna woda — śmiało powiedzieć można — przesądza stan zdrowotności miasta, gdyż

rozmaitego rodzaju bakterje chorobotwórcze dostają się do organizmu ludzkiego przez wodę. Rozumiały to już narody starożytne i wszelkimi siłami starały się mieć dobrą wodę. Przedstawicielom władzy w świecie starożytnym pomyślnie rozstrzygnięcie kwestji wody do picia stawiano jako wielką zasługę.

Badania archeologiczne dowodzą, że w państwach starożytnych istniały wielkie urządzenia, dostarczające wodę, a budowane nieraz olbrzymim nakładem energii i środków materialnych.

To, co w świecie starożytnym uważano za niezbędne, sfery kierownicze wileńskie dla czegoś długi czas uważały za zbytek.

Nareszcie przed kilku laty mu-

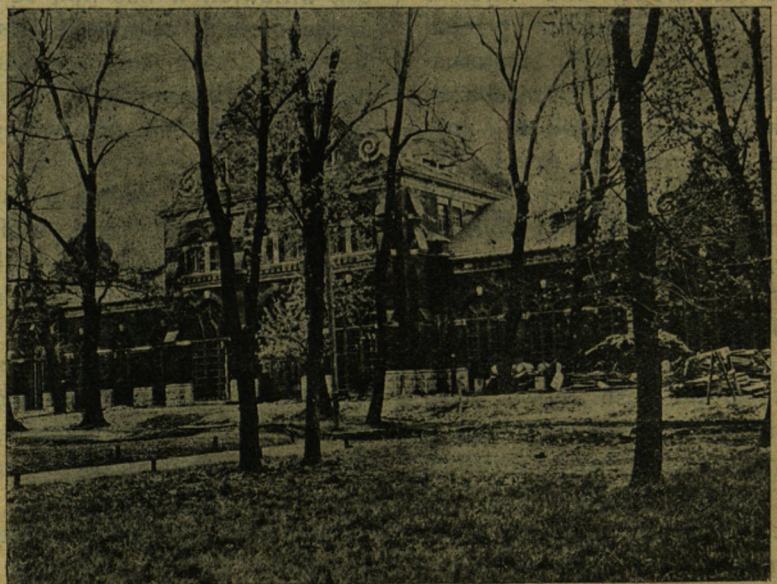
nicypalność nasza zrozumiała, że wodociągi — to nie luksus, lecz kwestja zdrowia publicznego.

Przed dwoma laty z zapalem przystąpiono do budowy wodociągów. Niedługo będziemy już pili wodę artezyjską — czystą i zdrową.

Już w końcu roku bieżącego niektóre ulice otrzymają wodociąg, ponieważ stacja pomp znajduje się na wykończeniu i obecnie odbywają się próby wytrzymałości rur.

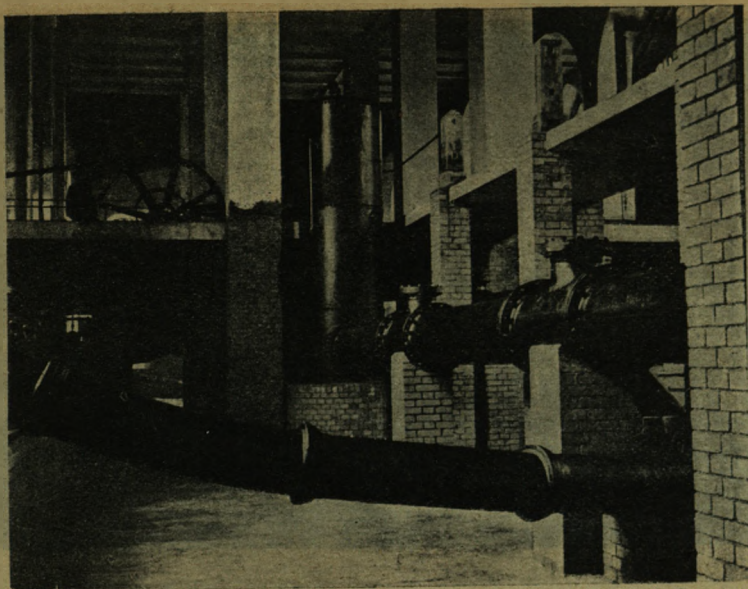
W tych dniach radni zwiedzili urządzenia wodociągowe w ogrodzie Bernardyńskim.

Stacja pomp mieści się w ładnym gmachu z czerwonej cegły, o stylu bardzo zbliżonym do stylu kościoła Bernardyńskiego. Stacja



Gmach wileńskiej stacji pomp. Fot. M. Piękar ski.





Stacja pomp, oddział dolny. Fot. M. Piekarski

składa się z dwóch oddziałów — górnego i dolnego.

Górny oddział obecnie zajmują dwie maszyny ssąco-tłoczące, wydajności około 15,000 wiader na godzinę każda, a poruszane przez dwa motory naftowe, każdy o sile 50 koni. Maszyna ssąco-tłocząca pełni pracę podwójną: ssie wodę ze studni artezyjskich i tłoczy następnie do sieci rur, idących na miasto.

W dolnym wydziale umieszczone są rury, łączące pompy ze studniami artezyjskimi z jednej strony i z siecią rur na mieście z drugiej.

W miarę rozszerzania sieci wodociągowej dwóch wspomnianych maszyn nie wystarczy, to też w dalszym oddziale będą z czasem ustawione elektro pompy.

Użytkowanie wody odbywa się nierównomiernie, w godzinach przedobiadowych używa się wody więcej niż o innej porze. Więc też mogłoby się okazać, że studnia artezyjska w godzinach przedobiadowych nie mogłaby dać naraz potrzebnej ilości wody. Dla uniknięcia podobnych wypadków obok gmachu pomp buduje się w ziemi ogromny zbiornik wody objętości 240 tysięcy wiader. W przyszłości wypadnie urządzić drugi taki zbiornik obok budującego się obecnie.

## Wyścigi w Wilnie.

Gdy w innych miastach wyścigi konne gromadzą tłumy, w Wilnie rozrywka ta jest dostępną tylko dla wybranych.

Przyczyna tego nie kryje się głęboko; dostrzega ją odrazu każdy, kto spróbował dostać się na wileński tor wyścigowy.

Przy dogodnej komunikacji, jak na przykład w Warszawie, można się przewybornie zabawić za 1 rb. — jeśli nie należeć do totalizatora, — w Wilnie zaś ta przyjemność kosztuje do 5 rb., gdyż za samą tylko jazdę do Pośpieszki dorożką płaci się od 3 do 4 rb.

Tegoroczne wyścigi wileńskie, organizowane staraniem Towarzystwa zachęty wyścigów konnych, którego gorliwym prezesem jest p. Włodzimierz Łęski, odbyły się d. 1 (14), 3 (16), 6 (19), 9 (22) i 11 (24) maja. Powodzenie w tym roku było większe, aniżeli w szeregu lat poprzednich. Do tego przyczyniła się głównie ładna pogoda. Trybuna prawie na wszystkich była wypełniona po brzegi.

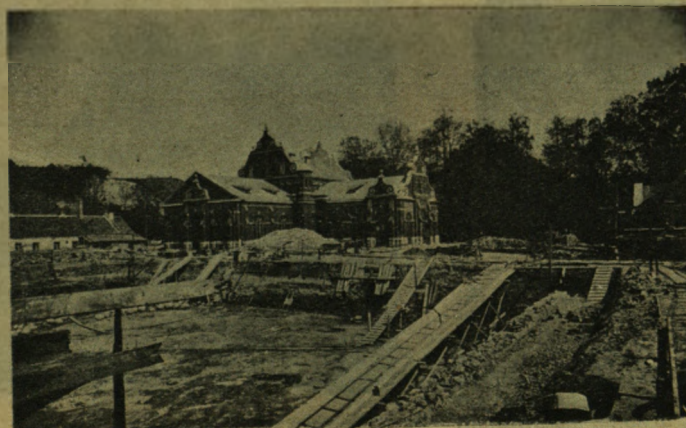
Stałemu bywalcowi, znającemu publiczność dawną, rzucał się odrazu w oczy brak przyjeźdnego ziemianstwa, które niegdyś zawsze łoże sobie zamawiało. Teraz ich miejsce zajęła inteligencja miejska.

Abstynencja obywatelstwa ziemianckiego odbiła się także i na konkursach hippicznych, które się odbywały po gonitwach. Podczas gdy w latach poprzednich w konkursach tych brali udział znane w towarzystwie panie i panowie, teraz jeździli wyłącznie tylko oficerowie.

Natomiast ciekawsze były go nitwy, do których w ciągu 5 dni



Stacja pomp, oddział górny Fot. zakł. J. Lachowicza.



Dół przeznaczony na zbiornik. Fot. zakł. Lachowicza



wyścigowych stawało przeszło 100 koni.

Stajni p. Hryckiewicza, zaliczającej się do lepszych i znanej na wielu poważniejszych torach, w tym roku nie powiodło się u nas. Stajnia p. Gnoińskiego, na wileńskim torze dawniej będąca faworytką publiczności, teraz ustąpiła wielu innym. Palmę pierwszeństwa zdobyła w tym roku stajnia p. Petersona.

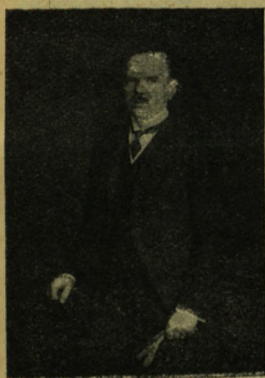
## „Polski samorząd“.

Przed kilku laty ówczesny prezes gabinetu ministrów rosyjskich, nieżyjący już dziś Stołypin, zapowiedział uroczyste: „Polacy otrzymają samorząd polski“.

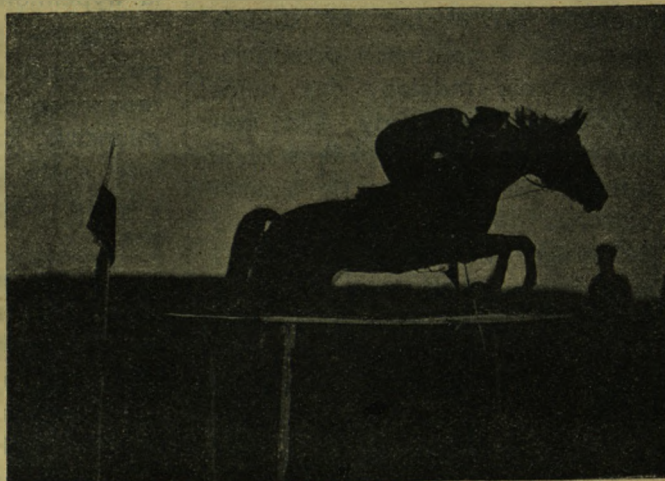


Grupa radnych miejskich, zwiedzających stację pomp. Pośrodku siedzi członek zarządu, radny Tupalski, w którego wydziale znajduje się budowa wodociągów wileńskich. Po lewej jego ręce, również siedzi, inżynier Szenfeld, kierownik robót przy budowie wodociągów. Z prawej strony radnego Tupalskiego stoi inżynier Szwengrubę, który buduje stację pomp. Fot. Zakł. J. Lachowicza.

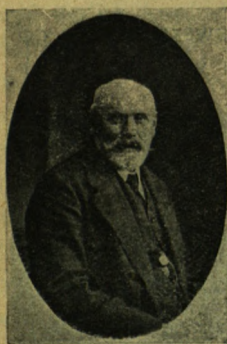
### Z WYŚCIGÓW WILEŃSKICH



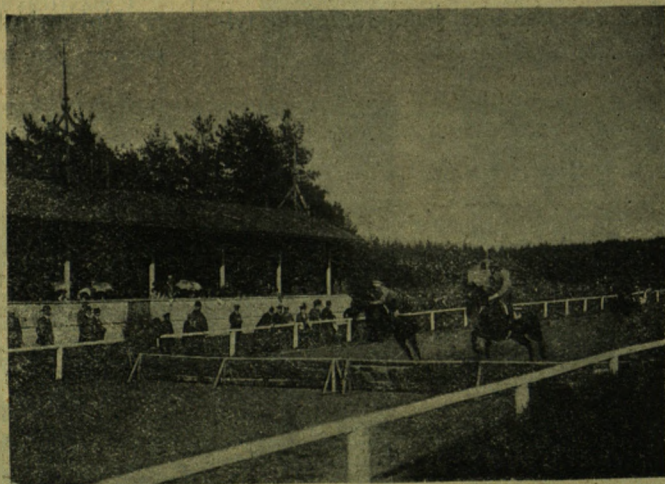
Włodzimierz Łęski, prezes Wileńskiego Towarzystwa Zachęty Wyścigów Konnych.



Konkurs myśliwski: skok przez „stół“. Fot. J. Żyliński.



Michał Pieślak, sekretarz Wileńskiego Towarzystwa Zachęty Wyścigów Konnych, w r. 1912 obchodził 25 letni jubileusz. Towarzystwo w dowód uznania jego działalności ofiarowało mu brylantowy żeton.



Gonitwa 5-ta z dnia 6 (19) maja „Stęple Chase“. Fot. J. Żyliński.

Długo czekało Królestwo na ten samorząd dla miast swoich. Projekt, opracowany najpierw przez rząd, dostał się później do Dumy i Rady Państwa; tam ulegał ciągłym zmianom na gorsze, aż rozstrzygnęły się jego losy w poniedziałek dnia 12(25) maja. W dniu tym Rada Państwa, nie chcąc się zgodzić na dopuszczenie języka polskiego do obrad na zebraniach rad miejskich, odrzuciła projekt, uchwalony przez Dumę. W ten sposób została załatwiona sprawa „polskiego samorządu“, obiecane przez Stołypina Polakom.

W całej Europie środkowej Królestwo Polskie będzie nadal jedyńskim krajem, gdzie gospodarką miejską zarządzają nie wybrani przez ludność obywatele, lecz urzędnicy, mianowani przez władze administracyjne.

Od dawna zapowiadana i oczekiwana reforma, niezbędna dla rozwoju miast w Królestwie Polskim, nie doszła do skutku. Naród nasz spotkał znów ciężki zawód ku uciesze „patriotów“ rosyjskich w rodzaju Hurki i Puryszkiewicza, hakatystów niemieckich i żydów, którym nie na rękę były zawarte w pogrzebanym projekcie ograniczenia.



## Kocham...

*Kocham — Czy słyszysz? O bądź tak szczęśliwy,  
jak nikt na świecie. O bądź tak radosny,  
jak nikt z śmiertelnych — Nućę śpiew miłosny,  
z fujarki graniem rzucam go na niwy.  
Niech się słowiczym upodobni szlochom,  
niech w księżycowy tka wieczór tęskliwy —  
Kocham — Czy słyszysz? O bądź tak szczęśliwy!*

*Kocham...*

*Zachód w purpurze na sen idzie cichy,  
przejrzyste fale biorą błękit na dno.  
Już mroki zeszyły. Nim ziemią zawładną  
zachód je stroi w płaszcz królewskiej pychy.  
Pójdź — Nim rozstania dźwiękiem pieśń rozszechom,  
nektar nam wonny niosą róż kielichy —  
Pójdź — na mym sercu śnij szczęścia — sen cichy —*

*Kocham ..*

*Stanisława Szadurska.*

## Bez szyldów.

W ostatnich czasach coraz więcej przybywa w Wilnie sklepów bez szyldów. Jest to skutek cyrkularza, jaki pod datą 4 października 1913 roku gubernator wileński Wierowkin przesłał policmajstrowi naszego miasta. Cyrkularz ten polecał, by przy wydawaniu pozwoleń na umieszczenie szyldów policja decydowała, czy na tych szyldach potrzebny jest napis w jakimkolwiek języku „inoplemiennym“. Prócz tego w cyrkularzu tym gubernator wyraził zdanie, że napis rosyjski na każdym szyldzie powinien zajmować przynajmniej dwie trzecie jego powierzchni. W rezultacie sporo nowych sklepów mamy bez szyldów.

Sprawa cyrkularza gubernatorskiego będzie, zapewne, niedługo przedmiotem rozpraw w Dumie. Posłowie polscy wnieśli do rządu interpelację odpowiednią, komisja Dumy ją przyjęła.



Książę Wilhelm Wied.

## Powstanie w Albanji.

Wsiąże Wilhelm Wied, świeży monarcha nowego państwa albańskiego, przeżywał w tych dniach ciężkie chwile.

Ledwie doszło do zgody z epiratami, którzy zagrozili południowej Albanji, wybuchło powstanie mahometan w okolicy Durazzo. Powstańcy pobili żandarmów księcia Wilhelma, oficerów wzięli do niewoli i maszerowali wprost do stolicy. Wystraszony monarcha z żoną i dwojgiem dzieci uciekł pospiesznie na stojący u brzegu w Durazzo statek wojenny włoski. Później pod osłoną austriackich i włoskich marynarzy wrócił na zamek i zaczął układy z powstańcami.

Czy układy doprowadzą do zgody niewiadomo. W każdym razie panowanie księcia Wied w Albanji jest bardzo niepewne.



## Elektryczna fabryka wód mineralnych

istnieje od 1888 r. pod firmą

„Prowizor TROMSZCZYŃSKI“

pod zarządem współwłaściciela prow. W. Wrześniowskiego. Wilno, ul. Monasterska № 7, telef. 708. Sklep fabryczny ul. Wielka № 82 naprzeciwko teatru. Poleca na nadchodzący letni sezon różne gazowe i chłodzące napoje, oraz lecznicze mineralne wody, przyrządzone na dystylowanej wodzie według ścisłej analizy naturalnych źródeł. Żądać wszędzie!

**ŻYCIE** wasze, POSAGI dla dzieci,  
**UBEZPIECZAJCIE**  
w jednym **POLSKIM**, opartem  
na wzajemności, T-wie

Ubezpieczeń  
na tanich i dogodnych  
warunkach

Ubezpieczenia  
mogą być zawle-  
rane już od kl. 100  
aż do 300 tysięcy. Składka  
miesięczna od 17 kopiejek.

Z sumy przeznaczanej na dywi-  
den:ę ubezpieczeni otrzymują 70%  
Wszelkich informacji szczegółów, udziela  
bezpłatnie Biuro Odtwornej Reprezentacji na Litwę  
Żmudz i Ruś: WILNO, Botaniczna 1.

Zarząd. Okręg. JÓZEF KOROLEC. Poszukiwani są ajenci.

**„PRZEZORNOSC“**



# MODY.



Letnia bluzka zdobna haftem.



Skromna, odpowiednia na codzień bluzka, z tiulową kamizelką i małym szalowym kołnierzem.



Suknia domowa, przybrana koronką i szkocką wstążką.



Bluzka z koronki lub jedwabiu w barwny deseń z odmiennym kołnierzem.



Sukienka dla dziewczynki 10—12 lat.



DEOTYMA. (Jadwiga Łuszczewska).

# Panienka z okienka.

Starodawny romansik.

(Ciąg dalszy).

Owóż panna Hedwiga kubek w kubek do niej podobnusia. O! im więcej patrzę, tem więcej to dopatrowam.

I na rachunek owej żółto-włosej ciotki, zaczął znowu i coraz to już śmieiej, przyglądać się pannie siostrze.

Ta z początku rada była uwadze braterskiej, przytem i podchlebiał jej taki hołd milczący, bo dobrze czuła, że w tych oczach pała nieopisany zachwył. Niedługo jednak rotowy ich ogień zaczął ją niepokoić i mieszać; po kilku chwilach myślała, że się skręci. Chcąc przerwać ten „urok“, co stawał się cierpieniem, sama wróciła do rozmowy. Uśmiechnęła się i rzekła:

— Ktoby to myślał, że my już raz tak bliżusio kćle siebie byli i może na się patrzali, i bez tyle lat nic o tem nie wiedzieli!

— Kędyż to było? — pytał zdziwiony pan Kaźmierz.

A no tam, na Rynku leopolskim. Przypomnij sobie Waszmość dobrze, czyś tam nie widział w onczas takiej małej bzdury w niebieskiej szatce i złotych forbotkach?

— Wstydno to wyznać, aleć takowej panienki nie pamiętam, acz pamiętam wiele innych rzeczy.

— Na ten przykład, co?

— Na ten przykład, kiedy nas wieźli, to pamiętam, jako mię jeden Tatarzyn chciał na wozie związać, a jam się mu nie dawał, i takem się małemi rękami i nogami bronił, i takem się wściekał, że aż pomogło; bo właśnie tamtędy jechał sam ich wódz, on sławny Kantemir, a obaczywszy, jako się dzieciak broni, zaczął się śmiać, że aż się za boki brał, i coś gadał do mego stróża, a ten zaraz dał mi pokój. Widno, że mu się ten animusz w dziecku podobał, chciał sobie może ze mnie zrobić tęgiego Tatarzyna. Aleć ja, leżąc na wozie, takem sobie medytował: „Kiedy się mnie sam wódz pogański przeląkł, to ja w nocy wstanę, i tego Kantemira i wszystkich jego regimentarzy wyduszę, za co mię nasi zara hetmanem okrzykną“.

— A to piękna rzecz, kiedy chłopiec tak eroicznie roi — zauważyła z wysokiem zajęciem Hedwiga.

— Byłby ja też pewnie w nocy wylazł, i byłiby mię jak szczenię ubili, jeno że właśnie tegoż dnia jeszcze przed nocą, pan Konicpolski nadciągnął i wszystkich nas wyzwolił, z czego ja nie był bar-dzo rad, bo już cały mój eroizm na nic się nie

przydał. — Potem znowu pamiętam, że na onym Rynku jakieś tłuste białogłowy posadziły mię na ziemi, pod skarpą jakiegoś ogromnego domostwa i kazały mi na głos wywoływać moją godność, aby mię familja łacniej odszukała. Ale wnet pożałowały, bo jakem zaczął krzyczeć: „Jam jest Kazio Korycki! Kazio Korycki!“ tak na całym Rynku nikogo jenszego już nie było słyhać, jeno Kazia. Tedy mnie znów prosiły, abym przycichł, gębę mi łakociami zatykały, a ja nic, jeno się drę i drę, i takem się darł bez calutki dzień, aż mię i znalazło moje biedne matczyisko, co już się też wyrwało z łyków pogańskich.

— Jakoż to? Więc i matka była w jassyr wzięta? No, a ta siostrzyczka, kiedyż ją z Waszmością rozłączono?

— Od samego początku. Jeden porwał matkę, drugi siostrę, trzeci mnie, i wszyscy się rozlecieli na trzy strony, tak że ja z matką dopiero się tam na Rynku znalazł, a siostrzyczki już nikt nigdy nie widział, ani na pobojuwisku, ani na woziech, ani w mieście. Nieraz my tak myśleli, że ją może Tatarzyn uciekając ubił, bo to nieraz oni wolą dziecko zarznąć, niżeli żywcem ostawić. A może ten, co ją wiózł, potrafił uciec aż na Krym, boć i tacy byli, co się przed nami salwowali. A może to po prostu jesteś Waćpanna?

Tu pan majster, nalewając sobie po raz drugi kufel, otrząsnął się, jak po zimnej kąpieli.

— Brrr... Co to za szczęście, że oni tu nie dojeżdżają! Paskudna rzecz taka wojna. Dobrześ Waszmość uczynił, kiedyś wybrał służbę na wodzie.

— A ja własnem się już odprawił od Wodnej Armaty.

— O, szkoda! — zawołała Hedwiga i, oczyma zmierzwszy jego postać, mówiła:

— Szkoda! Taki śliczny munderunek!

— I ja powiadam: szkoda! Ha no, co robić, kiedy pan ociec każe?

— Dlaczego to?

— Dlatego: było nas trzech braci...

— O? Niceś Waszmość nie mówił. To i oni poszli w on jassyr?

— Nie. Oni, jako starsze, już byli żakami u księży we Lwowie. To ich salwowało. Tedy potem jeden poszedł pod chorągiew pancerną, a drugi do haltylierów. Kiedy ja widzę, że już mi wzięli i ziemię i ogień, tedy proszę się pana oćca, aby mi dał iść na wodę, bo to w onczas wszyscy gadali, co to będzie za flotta, jakiej świat nie widział, i że król buduje ono warowne miejsce Władysławów. Jam zawdy miłował awantury i takem sobie myślał: „Niech jeno dostanę się na morze, będzie ich w bród“. Pan ociec długo się wzbraniał, aż mię i odpuścił tutaj. Najprzód więc jechałem na okręciech kupieckich; było się tam i siam, widziało się świata kawał, ale awantur mało. Tedy przystałem do Wodnej Armaty. A tu jeszcze gorzej.



O batalię nie łączno, jeśli się trafi, to jak ślepej kurze ziarno, a służba żmudna i sroga. Już ja tedy myślał wrócić pod flagę kupiecką i jechać do Indyów abo do Ameryki, za onym panem Arciszewskim, co tyle o nim gadania, aż tu przychodzi wiadomość, że starszy brat zginął w potrzebie, a w rok później znowu wiadomość: drugi brat ubity, — a tu pan ociec pisze do mnie: „Wracaj-że, mój ty Beniaminie, boś mi już jeden ostał się na świecie. Służ, jako chcesz, jeno już na lądzie, abyś choć czasami przyjechał do mnie i w gospodarce był mi sukursem“. — Jakoż to nie posłuchać oca, staruszka samotnego? Wszystkich potracił, naprzód oną Krysie, potem panią matkę, potem dwóch starszych, już nikogo nie ma, jeno mnie.

I gdzież Waszmość się zaciągasz, do pancernych?

— Owóż nie. Na wodzie człek odwykł od konia, lepiej mi pójść do infanterji. Hetman Zamoycki zawdy kawalerów tam namawiał i gadał, jako to teraz największa siła będzie w infanterzach. Tak to różnie ja się już przegryzował przez życie, i, jako widzę, jeszcze przyjdzie przegryzować się na inny manier, a zawdy awantur mało, chyba to może ja dzisiaj na nią się natknął, daj Boże szczęśliwie.

W tej chwili pan majster, który już sobie nawał trzeci kufel piwa, chciał i gościowi napełnić szklanice, ale spostrzegł, że jest ledwie troszkę napoczęta.

— O! — zawołał ze zgorzeniem. — Jaki to Waszmość nie łaskaw na mój bier. A paradny bier, keine gadanie paradny. Czy nieprawda?

Pan Kaźmierz, zakłopotany, odpowiedział:

— A no tak... dobry... jeno my na wodzie skąpo zażywamy piwa... to człek i nie przywykł.

Gdy kończył te słowa, Hedwiga się zerwała jakby wicher i, wpadłszy do sieni, drzwi za sobą zaparła.

— Co się stało? — zapytał pan Kaźmierz.

— A kto ją wie? odrzekł majster. — Ona nigdy nie może na miejscu spokojnie usiedzieć, A i ty, Kornelius, czego tak stoisz jako ten słup. co drzwi podpiera? Siadaj-że na swoim „ruhe“. Trzeba wiedzieć Waszej Miłości, jako my tu mamy nasze miejsca na zawdy nominowane. Ja siaduję tu pod złotem oknem, i ten kąt zwie się: „Faterstuhl“. Moja Dorotea siadywała tuż kole drzwi, aby łączno mogła dopaść kuchni, to my zwali jej ławę „na tymczasem“. Hedvich na swoim zydelku, my gadamy „na skrzydełku“, bo wiecznie lata. No, a tam po drugiej stronie drzwiów, ten drugi kąt ławy to „Kornelius-ruhe“, bo Kornelius tam nic nie gada, jeno siedzi, jak mruk, i wzdycha, za swoim Amsterdamem. A grzeszy chłopak; dziękowałały Panu Bogu, że jest w mieście tak zacnem i sławnem, jako nasz Danzig. Gadaj-no, Kornelius,

u was tam niema takich złoconych i rzezanych domów, ani takich beiszlagów, co?

— Prawda, panie majster, beiszlagów niema, aleć za to u nas w Amsterdamie niech jeno człowiek wsadzi w okno głowę, a już cały dycha słonością wiatrów morskich, a tu co? Ani wie, że jest kole morza.

— Gadaj, co chcesz, już ja tam wolę nie mieć słoności w gębie, a dychać naszą aurą, co jest mocna i słodka jakoby Goldwasser. On mi się zawdy chwali ze swymi Amsterdamami, Rotterdamami, Harleмами, a ja powiem: pierwsze miasto w świecie — Danzig. Czy nieprawda, powiedz sam Waszmość?

Kaźmierz się uśmiechnął.

— Żeby nie Kraków, tobym dał Waszeci rację.

— Wasza Miłość nie byłeś w Amsterdamie? — zapytał Kornelius.

— A byłem. Gdzieżem-ci ja nie był? Ze mnie wielki nawigant. Jeno powiadam: „Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej“. Z tej racji też i Waści, panie czeladniku, nie ganię, że chwalisz swoje Amsterdamy. Każda liszka swój ogon chwali. Niechże Amsterdam będzie ogonem wszelakich miast świata.

Kornelius, który słabo jeszcze pochwytywał odcienie mowy polskiej, zamyślił się, nie wiedząc, czy ma na te słowa odpowiedzieć uśmiechem, czy gniewem? W każdym razie, czuł większą skłonność do gniewu. Ten gość, choć prawie nieznamy, był mu od pierwszej chwili niemiłym. Istnieją w ludzkich sercach przecucia.

Gdy tak sobie nieznacznie docinali, drzwi domu się rozwarły i Hedwiga powróciła, niosąc znowu tacę, nierównie mniejszą, niż pierwsza, ale stokroć piękniejszą, całą wyzłocistą. Na tacce stały trzy naczynia, istne pieścidełka sztuki. Nalewka złota w kształcie ptaka, cała emaliami różnobarwnymi pokryta, jakby najwytworniejsza kraska. Przy niej stał kielich ze szkła jasno-amarantowego, wyglądający na olbrzymi, wyzłobiony król ptaków, z rozpostartymi skrzydłami, z koroną u głowy; po drugiej stronie był napis polski: „Na zdrowie!“ Między kielichem i nalewką stała na złotej nóżce, mieniąca się stu kolorami opalu, wydrążysta koncha, pełna malutkich marcypanów. Pan Kaźmierz, ze zwykłą zakochanym bystrością, zauważył odrazu, że wszystkie miały kształt serduszek.

Pan majster spojrział na Hedwigę z podziwieniem i zapytał półgłosem:

— Kto ci kazał to wszystko tu windować? Panienska zmieszana odparła:

(D. c. n.).



ADOLF DYGASIŃSKI.

# Targaj.

Mój bohater nie posiadał uskrzydłonej duszy Platona; był psem folwarcznym i nosił imię Targaj, jakkolwiek miał charakter nader spokojny, daleki od targania kogobądź.

Na folwarku, położonym wśród piasków a zdala od gościńca, życie jest nudne, smutne. Ludzie i bydło chodzą tu powoli, gnuśniej. W polach rosą rzadkie żyta, a wśród nich — pełno jeżyn. Wszędzie spotykasz oset, dziewannę, krzaczkę jałowcu. W sadzie dworskim rośnie zaledwie kilkanaście drzew śliwowych o drobnych przyzółkłych listkach, wśród których gąsienice założyły sobie gęste gniazda. Około dworku krzewi się nieco bżów tureckich, lecz wszystko to jakieś karłowate, nieudatne. Latem słońce piecze i w cień drzew schronić się nie można; kiedy zaś wyschnie jedyny zbiornik wody, kałuża, powstała z zimowych roztopów śniegu i wiosennych deszczów, wtedy lepiej jeszcze uwydatniają się tu cechy pustyni.

Tak się przedstawiał folwark Szarbice, gdzie nikt nigdy nie widział tłustego wołu, konia lub dopasionego wieprza. Chude krowy powracały tu zawsze z paszy głodne i przeto skąpo dawały mleka. To też dziedzicowi owej niefortunnej fortuny trudno było dobrać sobie pachciarza. Był Josek z Chmielnika, i ten zbankrutował do szczętu; poprostu w nocy uciekł ze Szarbic, uprowadzając żonę i dzieci. Po Josku wziął w pacht krowy Abramek z Pińczowa, człowiek bardzo energiczny, i ten dostał pomieszania zmysłów. Pan Nachajski, dziedzic już i tak przyciśnięty przeróżnemi kłopotami, miał teraz jeszcze krzyż pański z powodu pachciarzy i nieustannie gryzła go troska odkrycia jakiego izraelity, któryby zajął ten ważny posterunek w Szarbicach. Umowy nie dochodziły do skutku, a jeśli doszły, żaden żydek nie mógł przez cały rok wytrzymać. Dogadzano tu nawet takiemu pachciarzowi nad wszelki wyraz; nikt mu nigdy wody nie zamącił. Sama pani nie mówiła inaczej do przedsiębiorcy krowiego mleka, jeno — „panie kupiec“, a do żony jego — „kupcowa“. Pan dziedzic zaś strzegł się, jak ognia, cienia antysemityzmu i z ust swoich nie wypuścił słowa „żyd“, lecz mówił zawsze „starozakonny“, a najwyżej posuwał się do używania liczby mnogiej „żydkowie“, ilekroć była mowa o całym plemieniu. Ta zdrobniałość w umyśle dziedzica Szarbic pokrywała wszystkie ujemności. jakie rasa — podług niego — uosabiała. Jednakże wszystko się na nic nie przydało; pachciarze nie mogli miejsca zagrzać w Szarbicach, chociaż dziedzicowi oddawali sprawiedliwość, mówiąc:

— Państwo bardzo mądre i gżeczne ludzie, ale bidło paskidne!

Tak rzeczy stały, kiedy zgnębiony dziedzic Szarbic wyprawił karbownika Franka Borowca, bardzo doświadczonego chłopca, do miasta Szydłowa, aby tenże Borowiec ogłosił w owym miasteczku wszemu żydowskiemu narodowi, jako w Szarbicach jest do wypuszczenia w pacht obora, złożona z dwudziestu dwóch krów, i to na warunkach nadzwyczajnie dogodnych. Borowiec wstał o świcie i, położywszy na sobie znak Krzyża Świętego, puścił się w podróż między niewiernych. Miał on głowę bardzo nabitą ważnością posłannictwa, zwłaszcza, iż pan dziedzic przybiecał mu dodać ćwierć zagona pod kartofle, jeżeli się godnie z zadania wywiąże.

Franek był nie tylko chłop mądry, ale i wykląpany; z żydami umiał mówić i nie dał się przegadać. Jak zaczął po Szydłowie myszkować, a żydom kłaść w głowę różne rzeczy, tak wreszcie zwerbował niejakiego Mendla. Żyd się formalnie rozpalił do pachtu w Szarbicach, a był to najwyższy, najcieńszy i najchudszy człowiek w Szydłowie, — o bladej twarzy, długiej szyi, czarnej rzadkiej brodzie i o bardzo pięknych pejsach. Pod względem psychicznym miał Mendel naturę marzyciela, teoretyka; widocznie wśród jego przodków musieli być prorocy. Borowiec zabrał ze sobą tego rekruta i szli obaj, niosąc na plecach buty, a żywo rozmawiając o zawodzie oraz interesie pachciarza. Wypada tu dodać, iż Mendel próbował już różnego chleba: był on najprzód belfrem, potem — przez czas jakiś krawcem, następnie — faktorem, ostatecznie zaś chwiał się w wyborze między zawodem szynkarza a pachciarza. Idealista ten miał w sobie zapewne żyłę pra-przodków, którzy ongi pasali bydło, i przeto pacht sidlił go potężniej, aniżeli szynk, tembardziej, że chodziło tu nietyle o pasanie bydła w Szarbicach, ile o dojenie.

Na drugi dzień w samo południe podróżnicy nasi, przebywszy Saharę piasków, przybyli nakoniec do szarbicckiego dworu. Już przy wejściu w bramę Targaj powitał ich przeciągłym szczekaniem, wskutek czego Mendel dostał mocnego bicia serca i schronił się za plecy Borowca.

— Nie puńdziesz ty, zatracony, kaj do dziury! — krzyknął Franek, zamierzając się na psa pięścią, gdyż na kiju miał zawieszane buty.

Targaj ponuro spojrział czerwonymi oczyma na Mendla, który całą głową, jak tyka, wystawał z poza chłopca. Rzecz dziwna, pies ten nie miał zwyczaju szczekać, a teraz oto zaszczekał. Cały dzień leżał on przed spichrzem i zasypiał; w nocy też nie miał nic lepszego do czynienia. Szczekanie Targaja było nadzwyczajnym faktem w smutnych Szarbicach i zrobiło też wrażenie na mieszkańcach dworu. Pan Nachajski czempredzej wy-



ruszył na ganek, a widząc Mendla krocącego od bramy z odkrytą głową, wzrokiem wdzięczności powitał karbownika.

Zgromiony pies powstał ze swego legła, poszedł wolno o jakie dwadzieścia kroków dalej i ciężko, jak niedźwiedź, znowu się powalił na ziemię, spoglądając dziko na pachciarza, który z panem dziedzicem już w ganku zawiązał rozmowę. To duże psisko było całe w kudłach barwy brunatnej, wypłowiałej; kudły owe odleżały się i wisiały na psie, niby wielka chłopska sukmana i w tym przyodziewku zwierzęcia widać było żdźbła słomy, plewy, trzaski, trociny drzewne, rozmaite śmieci: a najgłówniej mnóstwo kolek z ostu. Targaj wyglądał jak bezkształtna, kołtuniasta masa.

— Ni to pies, ni wilcysko, cudacna pokraka, nikiej strasydło — mówili ludzie, patrząc na to zwierzę.

Małe chłopaki wiejskie natrzęsali się z niego, cizbą nieraz biegnąc za psem, tak jak po miastach biegają nieraz ulicznicy za waryatem. Milczący, poważny zawsze, ów psi Dyogenes nie używał wcale przyjaźni ludzkiej. Życie w Szarbicach zobojętniło go na wszystko i uczyniło istotnym cynikiem. Zdawało się nawet, że burze wszelkich zwierzęcych namiętności przycichły zupełnie w tym organizmie. Ilekroć przypadają czasy psiego karnawału, pohulanek, zabaw i wesel, on nigdy w tem wszystkim nie brał udziału czynnego. Parę razy puścił się był za bandą biesiadujących psów, jednakże nigdy go nie dopuszczono do towarzystwa zbliżka. I jak nie miał zostać samotnikiem, kiedy lada kundel rzucił mu się do gardła, powalił go na ziemię, wytarosił, co się zmieściło, nadarł z niego kudłów, narobił bólu i pełen tryumfu odchodził, gdzie go własne interesa niosły.

Tem dziwniejszem się wydaje, że Targaj zaszczeakał na widok nowoprzybyłego pachciarza z Szydłowa. Przecież poprzedni pachciarze mogli mu bezkarnie po głowie chodzić, czego pies ten nie broniłby i złodziejom!

Prawda i to, że Mendel był też w swoim rodzaju ciekawy egzemplarz, podobny raczej do strasydła na wróble, niż do człowieka. Cienki a długi, wywijał nieustannie rękami, nogi zaś podczas chodu gięły mu się w kolanach, jakby przysiadł; w ruchach ciała miał pełno niespokojności, a oczy wytrzeszczał, niby wystraszone.

Dziewki dworskie, skoro tylko spostrzegły Mendla, mówiły między sobą:

— Kaj ta z takiego ma być pachciarz, tak się ino widzi dziedzicowi.

A przecież pertraktacje o pacht szczęśliwie doszły do końca i pod wieczór umowa stanęła. We dworze chciano nawet Mendla ugościć; ale

onby nic trefnego nie wziął był do ust, więc spożył tylko kugiel oraz cebulkę, które miał w chustce zawiązane, poczem, jako ciężko znużony podróżą, dopraszał się noclegu.

Naprzeciwko prawie szarbickiego dworku stał stary a duży spichlerz. Pan Nachajski z zapalem opowiadał nieraz, że jakiś jego przodek zamknął się był niegdyś w tym spichrzu podczas napadu Tatarów na Szarbice i wytrzymał dokuczliwe oblężenie. Na dowóg autentyczności faktu pokazywał dziedzic mnóstwo dziur w ścianach, jakoby od kul tatarskich...

Otóż w tym spichrzu zrobiono dla nowego pachciarza posłanie z kłociastej słomy i spać go tam wyprawiono. Dworska dziewczka z latarnią w rękę prowadziła Mendla do starożytnego budynku, ale gość wiedział, że po drodze może mieć jakie zajście z Targajem, przeto czepiał się mocno spódnicy. Jakoż pies leżał w pobliżu spichrza, lecz kopnięty przez dziewczkę, mruknął tylko i wcale się nie podniósł, co tembardziej zdekoncertowało izraelitę. Nareszcie dotarto bez żadnych innych przeszkód do spichlerza, gdzie Mendel legł i zasnął snem sprawiedliwego, wśród miłych marzeń o dojonem przez siebie rogatem bydle. W te marzenia wplątała się i postać szpetnie kudłatego psa, któremu nasz marzyciel przypisywał bardzo złośliwy charakter. Fantazja w lot wyzyskała podczas snu owe uczucia i już nad ranem przyniosła Mendlowi sen arcy-niemily. Mianowicie też śniło mu się, że przez jakąś pustynną okolicę ucieka do Szydłowa, a za nim sady straszna kudłata poczwara ze wściekłymi płomiennymi oczyma, ostremi białymi zębami i z wywieszonym czerwonym językiem. We śnie pędził Mendel nawpół po ziemi, nawpół przez powietrze, wykonywał susy po kilkadziesiąt kroków naraz, a okropna bestya wciąż gnała za nim wyjąc i skowycząc. Biedak spociał się ogromnie, serce skakało mu w niewysłowionej trwodze, lecz pędził ciągle. I widzi w dali dom, gdzie nań oczekuje żona Ryfka, wpada do sieni, chce otwierać, lecz drzwi zamknięte, — chce krzyczeć, lecz głos ugrzązł mu w gardzieli... Więc jęknął głęboko, stęknął srodze, bo oto wali się na niego straszny potwór, przytłacza mu piersi, w usta wkłada łapę.

Mendel czuje jego ciepłe cielsko, słyszy okrutne sapanie; dobywa zatem sił osłabionych, aby się pozbyć straszliwego ciężaru, i właśnie w tym wysiłku się budzi... Sen miał nietylko wewnętrzną pobudkę, była i zewnętrzna jego przyczyna. Targaj, przez pchły niepokoiony, aż skomlił z bólu i niecierpliwości, leżąc w pobliżu spichrza. Wiadomo, iż pchły najbardziej dokuczają każdemu w nocy.

(C. d. n.).